

Nr 4 (196) MAJ 2023  
ISSN 1643-3734



# MŁODY MEDYK

MIESIĘCZNIK STUDENTÓW UMB

# Ogłoszenia drobne

Uprzejmie proszę wszystkich redaktorów „Młodego Medyka” o niepolecanie więcej książek. Jak zobaczę kolejną, to na pewno zaraz polecę do księgarni, a mam 20 złotych na koncie i muszę kupić mydło. Zlitujcie się.

Ogłoszenie dotyczy sprzedaży odkurzacza. Teoretycznie dalej należy do mojego chłopaka, który, jak sam twierdzi, „jest stworzony do wyższych celów niż sprzątnięcie”. Postanowiłam zatem zniknąć razem z urządzeniem. Ciekawe, który brak zauważy jako pierwszy. Największą zaletą odkurzacza jest niski przebieg i ochronna warstwa kurzu. Dlatego bardziej niż sprzęt domowy, przypomina eksponat muzealny. Może znajdzie się jakiś kustosz? Jak będzie w miarę młody, to w pakiecie z odkurzaczem może wziąć też mnie.

Szukam dziewczyny, która na ostatnich zajęciach uczyła się nefrologii z podręcznika Technopol Częstochowa 2014. Totalnie nie leży mi nerka i chciałabym poznać nowe metody przyswajania wiedzy. Twoje krzyżówki panoramiczne wyglądały bardzo zachęcająco. Odezwij się.

25-letni chłopak ze wsi szuka życzliwej osoby do pomocy przy pisaniu pracy magisterskiej na temat nowoczesnych zamienników pełnej krwi ludzkiej pochodzenia zwierzęcego. Wynagrodzenie do wyboru: pół tony pszenżyta/ dwumiesięczna ok.140-kilowa jałówka rasy HF/ dwa worki saletry amonowej.

Pozdrowienia dla Pana, który, poproszony o podanie mi papieru w szpitalnej toalecie, wsunął mi pod kabiną ptaszka z origami zrobionego z ręcznika papierowego. Dobry jesteś, trzeba było iść na ASP zamiast na medyka.

Nie pozdrawiam (i pilnie proszę o kontakt) nieznajomego, który w szatni na WNoZ założył się ze mną, że nie zmieszczę się do szafki, a potem zamknął za mną drzwiczki i uciekł. Draniu, nic ci złego nie zrobię, ale po prostu oddaj mi te obiecanne 5 złotych.

Sprzedam renault clio grandtour III (to takie małe kombi, choć złośliwi twierdzą, że kombi nie może być małe). Z chęcią opowiem o genezie każdej rysy, otarcia i wgniecenia na drzwiach. Tylny prawy reflektor jest nówka sztuka- był wymieniany jak walnęłam w murek, ale bagażnik się otwiera bez problemu. Zapraszam! Ze mną nie kupisz kota w worku.

Pozdrawiam chłopaka, który 24.04 bardzo wpatrywał się we mnie i koleżankę, gdy siedziałyśmy pod Domem Studenta. Kiedy wstałyśmy, szybko podbiegłeś do naszej ławki, zabrałeś „drobniaki”, które pod nią leżały i poszedłeś udając, że nas nie słyszysz. Musiałeś się rozczarować, gdy w domu odkryłeś, że był to guzik od kurtki i garść podkładek. Łączę się z Tobą w bólu i biedzie...

Czołem, niedawno skradziono mi portfel z plecaka w szatni. Po tygodniu znalazłem go u szatniarek. Ktoś, kto liczył na szybkie wzbogacenie się, okazał się mieć dobre serce, bo wsadził do mojego pustego portfela dychę. Ta akcja nas obu czegoś nauczyła, dzięki, mordo.

Pozdrawiam prowadzącego z medycyny nuklearnej, który zawsze wyłączał światło podczas prezentacji. Dzięki Panu odespałam (i to chyba z 6 razy) wstawanie na 8.



## Drodzy czytelnicy!

Nareszcie przyszedł maj. Co najbardziej lubicie w maju? Ja chyba swoje urodziny, ciepłe wieczory i kwitnący bez. W tym roku świętowałam je na szczycie Nosala w Tatrach, a moje koleżanki śpiewały mi „Sto lat”, trzymając w rękach muffinka z wbitą świeczką, którą skombinowały z restauracji. Byłam wzruszona. Dobrze jest mieć tyle życzliwych osób wokół siebie. Tak samo człowiek docenia życzliwość od bliskich, a może jeszcze bardziej od nieznanym. Podczas tego wyjazdu tylu ludzi nas zagadnęło, odpowiedziało jak iść lub nie iść czy zaproponowało podwózkę autobusem za darmo, abyśmy miały „na deser”. Jednak nie trzeba jechać na drugi koniec Polski. Ostatnio w Białymstoku przytrafiła mi się równie wzruszająca historia. O tym właśnie jest tekst o przewrotnym tytule „Smutni ludzie w Białymstoku”. W tym numerze na ciepłe, pachnące bżem wieczory mamy dla Was dużo poezji. Część z wierszy mogliście usłyszeć na „Wieczorze z Poezją”, który zorganizowaliśmy 20 kwietnia w Klubokawiarni Duży Pokój. Dla tych, którzy nie mogli z nami być, mamy reportaż z tego wydarzenia. Obyście po przeczytaniu mieli ochotę przyjść na kolejny nasz event z poezją, bo to był dopiero początek. W tym numerze mamy dla Was reportaż z Przeglądu Kapel Studenckich, anatomiczny opis Mona Lisy, z którego profesor Bochenek mógłby być naprawdę dumny, tekst o naprawdę makabrycznej historii cesarskiego cięcia czy artykuł o stażu w malowniczo opisanej przez Weronikę Italii. I oczywiście wiele innych, ale je musicie odkryć już sami. Więcej nie zdradzam.

Kochani, korzystajcie z pogody, bo jak wszyscy wiemy w Białymstoku jeszcze może spaść śnieg, bierzcie „Młodego Medyka” na Dojlidy, piknik czy nudne zajęcia i dajcie nam znać, co podobało się Wam najbardziej. Ściskam Was ciepło,

**Redaktor naczelna**

*Róża Maria Huszcza*



# MŁODY MEDYK

MIESIĘCZNIK STUDENTÓW UMB

## Spis treści

- 4-6** KAROLINA KARWOWSKA  
**Przegląd Kapel Studenckich**
- 6-7** MICHALINA MARIA KOWALSKA  
**Co ma Pierre – nik do Twoich planów wakacyjnych? Czyli o wolontariacie w Międzynarodowej Służbie Cywilnej**
- 7-8** WERONIKA MATYSIAK  
**50 metrów nad ziemią**
- 9-11** MIŁOSZ BARAŃCZUK  
**Wieczór z poezją**
- 12** PIOTR WALICKI  
**Licorice Pizza (2021)**
- 12-13** DZWONECZEK  
**Po prostu oddychaj... - zapisek kobiety zmagającej się z depresją**
- 14** RÓŻA MARIA HUSZCZA  
**Smutni ludzie w Białymstoku**
- 14-17** WIKTORIA CIOK  
**Zatrważająca historia ginekologii i położnictwa - o cesarskim cięciu**
- 17** HUBERT KOROWICKI  
**Mona Lisa według prof. Adama Bochenka**

.....  
Autorką okładki jest Anna Kożuchowska.  
.....

### SKŁAD REDAKCJI MŁODEGO MEDYKA:

**Redaktor naczelny:** Róża Maria Huszcza  
**Zastępca:** Jakub Aleksiejuk  
**Sekretarz:** Natalia Olszewska  
**Dyrektor Korekty:** Magdalena Burel  
**Zespół Social Media:** Wiktoria Żakowicz  
**Redaktorzy:** Natalia Olszewska, Łukasz Danielski, Joanna Han, Jakub Aleksiejuk, Karolina Karwowska, Gabriela Pęska, Paweł Ciura, Miłosz Nesterowicz, Michalina Kowalska, Edyta Gołaś, Maja Talacha, Patrycja Mościcka, Weronika Matysiak  
**Korekta:** Magdalena Burel, Natalia Olszewska, Katarzyna Pikora, Joanna Han, Patrycja Mościcka, Wiktoria Żakowicz  
**Zespół graficzny:** Anna Kożuchowska, Katarzyna Pietranis, Karolina Sabczewa, Marta Lewicka, Piotr Depta, Larys Lubowicki  
**Poprawki graficzne:** Marta Pasławska, Kinga Danowska-Idziok, Katarzyna Pietranis, Magdalena Domin  
**Skład i druk:** TOP DRUK, ul. Nowogrodzka 151A, 18-400 Łomża

**Siedziba Główna Redakcji:** Dom Studenta Nr 1, ul. Akademicka 3, 15-267 Białystok  
Facebook.com/mlodymedyk.umb;  
mlodymedyk.redakcja@gmail.com



# Przeгляд Kapel Studenckich

Był 14 kwietnia, zbliżała się godzina 19:00, a w CoNieCo zbierało się coraz większe grono fanów naszego klubu studenckiego. Tego dnia odbyła się dziewiąta edycja Ogólnopolskiego Przełądu Kapel Studenckich, czyli PKS. Chwilę po 19:00 na scenie pojawiły się dwie konferansjerki, które przedstawiły tegoroczny skład jury i zapowiedziały pierwszy zespół - Michałek. Kuba i Michał, czyli wokalista i perkusista, zespół założyli w 2019 roku i od tego czasu zagraли już ponad 50 koncertów. Przyjechali do nas z Kielc, a o PKSie dowiedzieli się z wydarzenia na Facebooku. Po ich występie poprosiłam o krótką rozmowę Kubę i Alberta. Kuba to wokalista i gitarzysta zespołu, na co dzień zajmuje się fotografią i grafiką. Albert jest managerem zespołu i studiuje na Politechnice Świętokrzyskiej, a muzyką zajmują się w każdej wolnej chwili.

**- Skąd pomysł na założenie zespołu?**

- Pomysł był taki, że spotkałem się z moim przyjacielem Michałem, naszym bębniarzem, i każdy z nas zajmował się muzyką, więc postanowiliśmy zacząć tworzyć coś razem. Z czasem dokoptowaliśmy sobie więcej przyjaciół, więc możemy powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi, a muzyka powstaje przy okazji.

**- Gdy pojawiliście się na scenie, z końca sali ktoś krzyknął: „który to Michałek?!”. Już wiem, że Michał to perkusista, a skąd pomysł na taką nazwę zespołu?**

- Niestety tego akurat nie możemy powiedzieć, ponieważ jest to wielka tajemnica. Kiedyś w jednym z wywiadów powiedzieliśmy, że powiemy, skąd jest nazwa, jak jeden z nas umrze, więc trzeba czekać do tego momentu. Chłopaki obstawiają, że to będę ja, co jest bardzo niemiłe - z ironią powiedział mi Kuba.

- Co ciekawe, to nie jest też tak, że wszyscy członkowie kapeli wiedzą, skąd jest nazwa. Kuba i Michał wiedzą, bo są założycielami zespołu, ale ja i basista



nie wiemy, bo dołączyliśmy troszkę później — powiedział Albert.

Jako drugi zaprezentował się zespół Filler Episode. Grają muzykę na pograniczu rocka i punku. Zespół założyli w 2022 r., chociaż część członków zespołu na pewno była już znajoma tym, którzy bawili się na zeszłorocznym PKSie.

- Graliśmy tutaj już rok temu, trochę w innym składzie i pod inną nazwą, wtedy też wygraliśmy i mieliśmy okazję zagrać na Medykaliach.

W planach mają dalszy rozwój, pisanie tekstów i nagrywanie singli.

**- A kolejny koncert?**

- Jeśli wygramy, to na pewno pojawimy się na Medykaliach!

Po chwili przerwy przyszedł czas na zupełnie inny rodzaj muzyki. Usłyszeliśmy zapowiedź kolejnego zespołu: „grają muzykę szczerą i płynącą z serca, liryka skupia się głównie na emocjach, z którymi mamy do czynienia podczas relacji romantycznych”. Ten zespół to PATKA Olszanowicz. Ktoś z tłumu krzyknął: „teraz chyba będzie romantycznie!” I było! Środek sali zamienił się w parkiet taneczny. Panowie prosili panie do tańca. Po ostatniej piosence od razu rozległy się krzyki: „BIS! BIS! BIS!”. Długo nie musieliśmy prosić, żeby Patka, wo-

kalistka zespołu, zapytała, jaką piosenkę chcielibyśmy jeszcze raz usłyszeć. Po ich występie poprosiłam Patkę o krótką rozmowę.

**- Skąd pomysł na założenie zespołu?**

- Skład założyłam ja z Pawłem gitarzystą. Spokaliśmy się na Jam Session, czyli na takim spotkaniu, gdzie spotykają się muzycy i po prostu sobie grają. Tak się skumaliśmy. Później zaczęliśmy szukać całego składu. Paweł znał Roberta na perkusji, ja pracowałam w Ośrodku Wypoczynkowym „Słońce Mazur” i Bartek jest tam właścicielem, więc wzięliśmy go na klawisz. Damian na basie z ogłoszenia, no i Paweł znał też Pawła na klawiszu, więc można powiedzieć, że znaleźliśmy się pocztą pantoflową.

**- Skąd pomysł na taki rodzaj muzyki?**

- Ja stawiam głównie na teksty, żeby słuchacz mógł się z nimi utożsamić, odnaleźć jakoś w tej historii. Taka muzyka chyba najbardziej odzwierciedla emocje, które chcę przekazać.

Patka teksty do utworów pisze sama, a inspirację czerpie z relacji romantycznych, które przechodzi. Jeżeli coś się z sercem dzieje, to Patka woli to przełożyć na papier i jak to Amy Winehouse powiedziała: „ze złego powstaje dobro”.

**- Jakie wrażenia towarzyszyły ci chwilę po występie?**

- Było pięknie, publika nas super przyjęła. Chociaż trochę się martwiłam, bo tu raczej ciężkie brzmienia się dzisiaj prezentują, ale wszyscy przyjęli nas tak fantastycznie, że zrobiliśmy tu trochę małą prywatkę.

Krótką przerwę i kolejny zespół - Dziewczyny z piwnicy. Jeżeli ktoś z Was często bywa w CoNieCo, to z pewnością dobrze zna dziewczyny. W listopadzie zadebiutowały na Spotkaniu Pod Schodkami, grając same covery. Potem zagrały również na kolędowaniu i Balu Organizacji Studenckich. O krótką rozmowę poprosiłam Wiksę – wokalistkę. Wiksa od zawsze chciała mieć własny zespół.

- O własnym zespole marzyłam od dawna. W te wakacje słuchałam Lany Del Rey „The Other Woman” i pomyślałam sobie, jak to super by było, jakby był bas, było pianino, perkusja, ale nie miałam ani basu, ani perkusji. Miałyśmy pianino i perkusję w CoNieCo i to tyle, no ale jak się chce, to można: mamy perkusistkę, mamy gitarę, gitarzystkę i pianistkę.

**- Skąd pomysł na teksty?**

- Pisałyśmy je w styczniu/lutym i każda z nas miała jakieś doświadczenia. Ja miałam złamane serce, Żuzu pisała o swoich aktualnych przeżyciach, Olga bardzo chciała o kanapce z serem z grilla (i to kiedyś wyjdzie, ale jeszcze nie teraz), za to Magda próbowała nam przepchnąć disco polo (nie udało się). Na początku wydaje się, że trudno jest wymyślić piosenkę, ale jeżeli człowiek naprawdę przeżywa życie, a nie tylko chodzi i egzystuje, to pojawiają mu się w głowie takie myśli, które warto jest przelać na papier.

**- Kolejne utwory?**

- Oczywiście, że będą! Ja mam już pomysły, tylko po prostu chodzi o muzykę, żeby nie było to zbyt kiczowate i tandetne.

Podczas występu dziewczyn odzew z sali był ogromny – od krzyków „Kocham cię, Wiksa!”, po rzucanie na scenę elementów garderoby damskiej.

**- Jak czułaś się, kiedy widziałaś taki odzew z sali?**

- Dziwnie mi było strasznie. Przede wszystkim jesteśmy zespołem i to nie jest tak, że jestem tylko ja. Zawsze podkreślam, że dziewczyny mają mega duże znaczenie. Gdyby nie one, to Dziewczyny z piwnicy by nie było.

Po 22:00 przyszedł czas na ostatni występ. The Ratzator to zespół, który tworzy utwory z przeważającym wpływem heavy metalu, a tematyka skupia się głównie na problemie niedopasowania człowieka do realiów współczesnego świata. Pomysł na założenie zespołu zrodził się rok temu na Schodkach nad Wisłą. Swoje pierwsze utwory nagrali niedawno, gdy chcieli zgłosić się na eliminację do Juwenaliów Politechniki Warszawskiej. O rozmowę poprosiłam wokalistę, który zanim wraz z kolegą założył obecny zespół, grał już wcześniej w kilku zespołach.

**- Skąd pomysł na taką nazwę zespołu?**

- Na początku mieliśmy inną nazwę, którą z czasem stwierdziliśmy, że musimy zmienić i nasz gitarzysta Kamil powiedział: „The Ratzator”, bo to się kojarzy z deratyzacją i ze szczurami. Stwierdziliśmy, że jak na zespół heavymetalowy to ta nazwa zagrała super.

**- A jak wrażenia po występie?**

- Super! Ta salka jest dość mała, więc nie spodziewałem się, że tak nieliczna grupa ludzi może mieć tyle energii. Naprawdę super przeżycie.

Krótką przerwę i tuż przed 23:00 na scenie ponownie pojawiły się nasze konferansjerki, ale tym razem również Andrii - kierownik CoNieCO i jury. Pora na ogłoszenie wyników. Jako pierwszy, głos zabrał prof. Marcin Moniuszko, który był jednym z członków tegorocznego jury. Skierował kilka miłych słów do każdego z zespołów, dziękując za ich obecność, a organizatorom za to, że podołali organizacji tego wydarzenia. Czy to już czas, żeby przyznać nagrodę główną? Jeszcze nie! Teraz mikrofon trafił w ręce Andrii, więc najpierw nagroda publiczności. Największą liczbę głosów publiczności zdobył w tym roku zespół Filler Episode. Jury z kolei nagrodziło PATKĘ Olszanowicz. Oba zespoły usłyszymy na tegorocznych Medykaliach.

Po oficjalnym zakończeniu o kilka słów komentarza odnośnie wydarzenia poprosiłam prof. Moniuszko.

**- Panie Profesorze, jak ocenia Pan tegoroczny PKS? Dlaczego jury zdecydowało się przyznać nagrodę główną PATCE Olszanowicz?**

- To był niezwykle energetyczny wieczór, a ja naprawdę byłam dumna, że nasi studenci organizują tak profesjonalnie przygotowaną imprezę.

Cieszy bardzo, że świetnie zaprezentowali się rodzimi wykonawcy: zdobywca nagrody publiczności, grający z niezwykłą energią zespół Filler Episode, który porwał do zabawy publiczność czy też niezwykle utalentowane, charyzmatyczne i dowcipne Dziewczyny z piwnicy, które z miejsca zdobywają serca każdej publiki. Wielką moc i talent pokazali też goście konkursu: zespoły Michałek i The Rytator. Generalnie poziom artystyczny uczestników tegorocznego PKS-u był bardzo wysoki i niezwykle wyrównany. Stąd też jury miało naprawdę spory problem z wyłonieniem zwycięzcy. W końcu jednak jednogłośnie podjęliśmy decyzję, by nagrodę główną przyznać zespołowi PATKA Olszanowicz - za artyzm, porywającą do tańca energię i podziwu godną wszechstronność twórczą.

Kiedy z Klubu CoNieCo zaczęło wychodzić coraz więcej osób, powiedziałam do Róży, naszej redaktor naczelnej, że można by było jeszcze chwilę z Andriem pogadać. Róża rozejrzała się wokół i nagle na pół sali krzyknęła: „Ooo! Andrii! Chodź na chwile!”

I takim sposobem mamy jeszcze kilka słów od Andrii, który wraz z członkami CoNieCo organizował to wydarzenie.

**- Jak wrażenia po PKS-ie?**

- Bardzo mi się podobało! Cieszę się, że przyjechało dużo zespołów, w tym też zespoły spoza Białegostoku. W tym roku naprawdę był zachowany bardzo wysoki poziom od pierwszego do ostatniego występu. Pełna profeska, super zespoły i mimo tego, że prezentowały się różne style, to naprawdę był poziom.

Jak przyznał Andrii, organizacja takiego wydarzenia nie jest prosta, ale dzięki zgranemu zespołowi CoNieCo jest możliwa.

**- W takim razie, czy będzie dziesiąta edycja?**

- Oczywiście, że tak!

Nie pozostaje mi nic innego, jak powiedzieć Wam: do zobaczenia! Dziewiąty Ogólnopolski Przegląd Kapel Studenckich został oficjalnie zakończony. ■

**Karolina Karwowska**

## Co ma Pierre – nik do Twoich planów wakacyjnych? Czyli o wolontariacie w Międzynarodowej Służbie Cywilnej

Nie ukrywam, że spotykam się z niemałym zdziwieniem, kiedy mówię, że znaczną część lata spędzam na wolontariacie. Jadę na workcamp – oświadczam, ale polskie tłumaczenie wydaje się jeszcze bardziej komplikować niż tłumaczyć moje plany. „Obóz pracy? Chyba nie pracujesz za darmo?!” Przyznajcie, że polskie tło historyczne zdecydowanie nie sprzyja popularyzacji tej idei i już na starcie stawia pewne uprzedzenia.

Właściwie to nie wyobrażam już sobie lata spędzanego w wakacyjnych kurortach, nawet backpackerskie podróże stają się na ten czas tylko małym dodatkiem do wolontariackich projektów. Dlaczego? O tym może przy innej okazji. Przybliżę Wam jedną z moich ulubionych form wolontariatu, już wspomniany workcamp, czyli krótkoterminowa forma projektu wolontariackiego organizowanego przez instytucję pozarządową SCI (Międzynarodową Służbę Cywilną).

Ale od początku. Wszystko zaczęło się od niezwyklej osoby – niejakiego Pierre-a Cérésola.

Był rok 1914. Wraz z wybuchem I Wojny Światowej 33-letni Pierre wraca ze Stanów Zjednoczonych do swojej ojczystej Szwajcarii. To, co zastaje w pograżonej konfliktem zbrojnym Europie, wstrząsa nim do głębi i nadaje kierunek jego dalszemu życiu. W 1920 roku porzuca świetnie prosperującą karierę inżyniera i zakłada SCI. Service Civil International to ruch pokojowy i humanitarny – właściwie

francuski sposób określania międzynarodowej służby cywilnej. Od tego momentu całkowicie poświęca się pracy na rzecz budowania pokoju. Od czego zaczyna? Właśnie od workcampu. Cérésola rekrutuje wolontariuszy z obu stron konfliktu wojennego. Wielu z ich to Niemcy i Austriacy, którzy ramię w ramię z Francuzami, pomagają oczyścić i odbudować zniszczoną działaniami wojennymi wioskę Esnes, miejsce na dawnym polu bitwy pod Verdun we Francji w 1920 roku. Po tej sukcesem zakończonej akcji Pierre zbiera kolejną grupę wolontariuszy, aby odgruzować tereny zdewastowane zejściem lawiny w rodzimej Szwajcarii. Po 10 latach działania organizacji, w przeciągu których ma miejsce wiele kolejnych projektów niesienia pomocy, na

*Rok 1950 – workcamp w Warszawie*



prośbę o działanie – zgłaszają się wolontariusze już z 17 różnych krajów.

Trudno nie wspomnieć o tym, jak inspirującą i ciekawą osobą był Pierre. Pochodził on z bardzo zamożnej rodziny, a mimo to po śmierci swojego ojca odmawia przyjęcia ogromnego spadku. Porzuca lukratywną karierę inżyniera w Szwajcarii na rzecz licznych podróży po świecie, podczas których pracował głównie fizycznie, aby móc zarobić na swoje utrzymanie. Pacyfista, odmawiający służby wojskowej, jak i płacenia podatku na rzecz wojska – za co zresztą odbył karę więzienia. Dwukrotnie mianowany do Pokojowej Nagrody Nobla. Podczas II Wojny Światowej starał się o rozmowę z przywódcami władz niemieckich, wzywając do zakończenia wojny. Niestety zaraz po nielegalnym przedostaniu się na teren Niemiec zostaje schwytany i zamknięty w więzieniu. Pierre umiera zaraz po wypuszczeniu, przed samym końcem wojny w 1945 roku. Postać szwajcarskiego dobroczyńcy stała się inspiracją dla wielu powojennych organizacji międzynarodowych i inicjatyw społecznych. Jedną z nich jest działające w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych UNESCO. Pierre Cérésolle wierzył, że międzynarodowy wolontariat może pomóc odbudować wzajemne zaufanie oraz możliwość pokojowej współpracy narodów, które jeszcze do niedawna ze sobą walczyły.

Obecnie SCI posiada 45 oddziałów i ponad 100 organizacji partnerskich na całym świecie. Była to jedna z pierwszych organizacji, która dążyła do tego, by w swojej pracy na rzecz pokoju i dialogu międzykulturowego, zachować pełną polityczną i religijną niezależność. Co roku dzięki SCI tysiące wolontariuszy bierze udział w międzynarodowych projektach o różnej tematyce – od tych dotyczących ochrony środowiska po kulturowe i medyczne a także związane z pracą na rzecz lokalnych społeczności w różnych częściach świata. Wolontariusze pochodzący z różnych krajów i środowisk mieszkają i pracują razem. To pozwala im lepiej się poznać, przełamać bariery i uprzedzenia, doświadczyć wzajemnego szacunku i zrozumienia.

Polskim oddziałem SCI jest Stowarzyszenie „Jeden Świat”. Informacje o Stowarzyszeniu „Jeden Świat”, a także o workcampach znajdziecie na tej stronie <http://www.jedenswiat.org.pl/> Stowarzyszenie „Jeden Świat”. ■



**Michalina Maria Kowalska**

## 50 metrów nad ziemią

Mam dla Was magiczną opowieść, a co bardziej niezwykle – prawdziwą. Gdyby to był podcast, poleciłabym Wam zamknąć oczy, ale w tych warunkach po prostu tego nie róbcie. Za siedmioma górami... między morzami... (Adriatykiem i Liguryjskim), a jakby na to spojrzeć z góry – w kozaku, i rzut beretem od domu Julii Capuletti – zjecie najlepsze gelato! Ale w ten weekend wyruszmy poza szekspirowską Weronę.

Allora. Wyobraźcie sobie łagodne, wrześniowe słońce. Poczujcie je na skórze, jak przyjemnie otula. Weźcie głęboki wdech. Rzeńskie, alpejskie powietrze przyjemnie wypełnia płuca. Wydech. Rozejrzyjcie się wokół, jak spomiędzy dachów kamienic wyrastają strzeliste wieże, rozpruwając błękitne niebo. Zmieńcie kąt obserwacji, nagle wieże maleją wobec starych gór... Z góry spogląda Władca Mórz. Każde szanujące się włoskie miasto ma fontannę Neptuna, Trydent nie jest wyjątkiem.

Mijam znak drogowy z przekreślonym Trento. W małym, międzymiasteczkowym autobusie opuszczam to, co mi znane. Opuszcza mnie słoneczna aura – nie ustępuje, a ucieka w popłochu. Wzmaga się wiatr, kłębią ciężkie chmury, w oddali widać pierwsze błyski, zaraz słychać pierwsze grzmoty i nic poza tym. Mgła okrywa zbocza, wypełnia przepaść za przydrożnymi barierkami. Krople deszczu spływają

po szybie..., zaraz będą po mnie. Oczywiście, że nie wzięłam parasola. Szansa, że po miesiącu bezdeszczowej pogody się przyda była... jak widać wystarczająca. Wsiadłam w środku niczego. Za mną komfort ciepłego i suchego autobusu, a przede mną mini maraton przez las, burzę, zacinający deszcz, prawie po omacku, po błotnistej ścieżce, do nieznajomej gdzieś w Trentino-Alto Adige. Tak..., tego mi było trzeba!

Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że Piazzole to pięć domów na krzyż, z panoramą na winnice układające się na zboczach i na wioski po drugiej stronie doliny, na ośnieżone szczyty w oddali i zachody słońca za tymi szczytami. Nie znałam dokładnego adresu, a deszcz skutecznie ograniczał pole widzenia do zaledwie kilku metrów. Znalazłam pierwszy lepszy ganek, a na tym ganku zaraz po mnie znalazła się jego wiekowa właścicielka. Jak bardzo musiała być zaskoczona, widząc pod swoim dachem obcą dziewczynę, przemoczoną do suchej nitki, z którą zupełnie nie mogła się dogadać. Uniwersalny włoski istnieje tylko w podręcznikach. Dom E., którego szukałam, był zaledwie kilka kroków dalej... Oby przez noc przestało padać – proszę, proszę, proszę!

Na śniadanie słońce, krakersy z miodem i gęsta czarna kawa. Czy można się tym najeść? Nie wiem.

Piętrowy dom z kamienia i drewna, przyozdobiony kolorowymi szarfami, musi mieć kilkadziesiąt lat,

podobnie jak każdy budynek tutaj. Front wychodzi na wspólny placyk wyłożony kocimi łbami. Żadnych ogrodzeń. Z tyłu warzywno-owocowy ogród. To wszystko.

Umówiliśmy się z przyjacielem E. na obiad w odalonej o 22 km od Piazzole – Calceranica al Lago, maleńkiej a urokliwej miejscowości nad górskim jeziorem Caldonazzo, w klimacie spokojnego resortu dla niemieckich emerytów.

Sama podróż autem E. jest przeżyciem. Bezchmurne niebo pozwala odkryć to, co jeszcze dzień wcześniej zasłaniał zacinający deszcz i mgła – szosa jak nić wiję się przez doliny, a miasteczka i jeziora mienia się w słońcu jak naprzemiennie nawlekane koraliki.

Lokalna restauracja. Dwujęzyczne menu. Na stole mieszanka kuchni północno-włoskiej i alpejskiej. Po obiedzie *caffè liscio* (pst pst – tak włosi z krwi i kości nazywają espresso), po kawie M. zabiera nas do swojej kasztanki.

M. mieszka kolejne dwadzieścia z kawałkiem kilometrów dalej, nad Torrente Maso. Wnętrze domu – łącznie z warsztatem M., pełnym drobnego rękodzieła, małych drewnianych figurek, które sam robił – współgra z naturą, która go otacza. Takie samo wrażenie sprawia jego właściciel.

Gdy wychodzimy na zewnątrz, rysuje się przed nami taki obraz: stary, czerwony fiat na podjeździe, dalej, za niskim płotem uliczka, po drugiej stronie drogi i tuż przy niej – pastwisko z naszą kasztanką, które ciągnie się daleko i łagodnie w dół, tak jak zbocze; dalej krzaczki, drzewka, g i g a n t y c z n e Alpy, chmurki. Bajka. M. woła swoją klacz po imieniu. Zakłada kantar, przypina linę i to wszystko. Spędzamy kilka godzin snując się po wąskich uliczkach i kolorowych łąkach, wzdłuż szumiącego potoku Torrente Maso, pod górkę i z górki, zrywając figi z przydrożnych drzew, grzejąc się w słońcu tak jak one, pozdrawiając przechodniów i odpowiadając na pozdrowienia wykrzywane z kwiecistych balkonów, w rytm kończącego się lata. Co chwilę przerywa mu M., z kolejną historią, w swoim niezrozumiałym dla nikogo innego, prócz tubylców dialekcie. Dobrze, że mam tłumaczkę, bo nawet nie marzyłam o takiej lekcji.

Zmieniamy konie na mechaniczne. M. chce nam koniecznie pokazać swoje posto incredibile. Brum...

Wysiadamy na leśnym parkingu nieświadome, jak strome podejście nas czeka. Jeszcze w końskiej sierści, wspinamy się za 20-30 lat starszym M., próbując (bezskutecznie) go dogonić. W końcu to włoski góral – nie może być inaczej.

50 metrów nad ziemią leży wyrzeźbiony przez wodę w skale dolomitowej Ponte dell'Orco – Most Orka. Lub, jak kto woli, nie proces geologiczny... a zły ork przyłożył do niego rękę, w zamian za duszę pasterza, który wracając do wsi wraz ze swą trzodą zastał drogę zablokowaną przez przepaść (Włosi kochają legendy tak samo jak cukier).

Teraz stoję tu z E. zdyszana, ale na bacności, bo zarówno trzy kroki w prawo jak i w lewo jest prze-

paść – ork nie pomyślał ani o BHP, ani o barierkach... A trudno się nie zagapić przy tym widoku, już dawno po południu i niskie słońce zaczyna grę cieni.

Za nami stoi niemal pionowa ściana gołej skały. Chyba coś się na niej rusza... E. mówi, że mamy ogromne szczęście widząc w pełnej krasie il camoscio alpino (kozicę alpejską). Z gracją przebiega w poprzek urwiska. Nie ma lepszego stanowiska do tej obserwacji, niż to, na którym stoimy. Szkoda, że M. tego nie widzi. Przed chwilą pobiegł z kolei w najlepsze miejsce, z którego zrobi nam zdjęcie, 50 metrów nad ziemią. Koniec (przygód na dzisiaj). ■

## Weronika Matysiak







# Wieczór z Poezją

Śnieg i mróz? Wiatr? Plucha? To wszystko już za nami. Przyszła wiosna, a wraz z nią do życia budzi się cały świat! W sercach ludzi na nowo gości ciepło, a w głowach artystów odradza się wena i zmysł poetycki. Czy może być on wyrażony inaczej, jeśli nie śmiałą deklamacją wartkiego wiersza?

Studenci naszej Uczelni mieli możliwość zaprezentowania zarówno utworów wybranych autorów, jak również tych własnoręcznie napisanych. To wszystko przy akompaniamencie muzyki klasycznej w Klubokawiarni Duży Pokój. Energii wydarzeniu dodawał unoszący się wszędzie zapach świeżo zmielonej kawy oraz pysznego ciasta. Nawet przechodnie, widząc recytatorów przez okna, nie mogli przejść nie przypatrzawszy się im z zaciekawieniem. Zdarzali się i tacy, którzy specjalnie wstępowali do lokalu, by choćby na chwilę usiąść i wsłuchać się w piękno poezji. Występ umiłał czas przyjaciom przybyłym za namową studentów, a także pracownikom i zwykłym, codziennym klientom klubokawiarni.

Ochoczo pozowano i robiono zdjęcia. Czarę wydarzeniu dodawały cudowny wystrój lokalu oraz stylowe kreacje naszych recytatorek i recytatorów. Spośród zaprezentowanych ponad dwudziestu utworów rozmaitych twórców, każdy ze słuchaczy mógł usłyszeć coś, co najbardziej odpowiadało jego poetyckim upodobaniom. Tematyka wierszy była niemal tak niejednakowa, jak pogoda zeszłego miesiąca.

To krótkie, acz wartościowe, obcowanie ze sztuką poezji, przypadło do gustu zarówno słuchaczom, jak i deklamującym. Świadczyły o tym niekończące się rozmowy trwające jeszcze długo po ostatniej recytacji. Był to czas, kiedy każdy mógł zaprezentować utwór, który go ciekawi, wyraża, odzwierciedla jego poglądy, stanowi filozofię życiową lub po prostu jest miły dla ucha.

Podsumować nasz Wieczór z Poezją możemy poniższymi słowami.

*Dziś nasi medycy dumnie  
tuż po skończonych zajęciach  
przyszli do kawiarni tłumnie  
(co przecież widać po zdjęciu).*

*Lecz nie dzisiaj o anacie,  
histopato, analgezji...  
Dziś mówimy, siostrze, bracie,  
o cnych wierszach i poezji!*

*Jest muzyka, kawa, ciasta,  
scena, stoliki, fotele,  
przyszło wielu ludzi z miasta  
oraz nasi przyjaciele.*

*Są emocje, gra pianino,  
kunszt poetyckiej profesji!*

*Słowa płyną niczym wino  
w gardło po udanej sesji.*

*Gdy ci zdolnie deklamują,  
reszta uszy w słuch nastawia.  
Wszyscy się rozsmakowują  
w uczenie słownej - jak się mawia.*

*Różne są wierszy tematy:  
tęży, codzienność, wiara, życie  
i filozofów klimaty,  
o miłości jest obficie,*

*czasem żartobliwie bywa,  
a czasem szelamy w kłiwie...  
Dusza aż w zachwycie pływa,  
kiedy z ludźmi jest możliwość*

*wymienić się wrażeniami  
i z kulturą poobcować.  
Niektórzy z was wiedzą sami,  
czym może zaowocować*

*wena, która w nas się kłębi.  
Nie zostawia w głowie luki...  
Tak z czasem się z niej wydębi  
śliczne słowne dzieło sztuki...*

*Widać medycy gorliwie  
też się poezji imają  
i wszyscy już niecierpliwie  
na kolejny raz czekają!*

*Miłosz Barańczuk*

Maria Zysk

## Prerogatywa

Każde słowo ma znaczenie  
W przestrzeni kieszeni ukryte  
Jeśli wgłęb włożysz dłoń  
Zobaczysz swój immunitet  
Na błędy życiowe  
Popelnione każdego ranka  
Bez nich historia byłaby nudna  
Prostsza  
Nietrudna  
Choć trudne są wszelkie wybory  
Podjęte decyzje  
Stracone osoby  
Tak bliskie  
Pożegnaj człowieku młody  
Swoją immunitet  
Wkraczając w dorosłe życie  
Płacisz za każdy ubytek  
Pieniędźmi, honorem, szacunkiem  
Śmiercią  
Umarłych imion które  
Pod sercem głęboko ukrytym  
Do grobu Zabrały przeszłość.

Maria Zysk

## Riwiera

Nie jest znany wszem i wobec  
Sekret cichy, w głąb ukryty  
O dwóch takich zakochanych  
Co w przestrzeni się ukryli

Niby jasnym słońcem byli  
Ciepłym blaskiem nad polaną  
Czymże była ta polana  
Bez jednego cienia światła

Stali się też morską bryzą  
Zamieszkałą między skały  
Czymże była owa skała  
Bez powiewu chłodnej fali

A na koniec obrócenia  
W piasku drobne złote ziarna  
Czymże były owe ziarna  
Bez miłości, bez kochania.

Jerzy Kraczewski

## Bez i agrest

Przyszłaś do mnie, pachnąc myślą płochą,  
roztaczając wokół swój czar niewieści  
pamiętam Twoje oczy rozwarłe szeroko  
pachnące kwitnącym bzem, agrestem  
Od słów słodkich, pozlepiane wargi,  
których nawet czas nie śmie rozdzielić  
zbudowały marzenia, ożywiły lalki  
ulożone w bzu, agrestu topieli,  
Myśl wciąż ucieka między bzu płatki,  
agrest swym owocem słodycz uwypukla,  
na ustach wciąż mam ich aromat gładki,  
i smak – tak brzemienisty w skutkach...

Miłosz Barańczuk

## Anegdotka #1

Raz, tak idąc przedmieściami,  
stałem hen obok chaty,  
gdzie mieszkał Nowak z teściami  
(już od przeszło siedmiu laty).

Koło domu samochody,  
a przy wejściu jakieś ludzie.

Zajęli już całe schody  
– kolej idzie jak po grudzie!

Rodzina im chyba cała  
dziś do chaty się zjechała...

Przed drzwiami kolejka stała  
i nie taka wcale mała!

Rządek kolesi z wieńcami,  
Nowak tam we drzwiach się chowa,

każdy smutny i z kwiatami,  
widocznie zmarła teściowa...

Podszedłem więc do jednego  
gościa i wnet zapytałem:

- „Na co zmarła?” – ale tego,  
to ja się nie spodziewałem...

- „Widzisz pan tego wilczura?  
(a to pies był nowakowy)

Taki to by zagryzł knura!

I się dorwał do teściowj...”

- Westchnąłem, się przeżegnałem  
i, nie życząc im nic złego,  
cichuteńko wyszeptalem:

- „Ja pożyczylbym psa tego!”

- „Panie!!!” – wykrzyknienie pada.  
Coś mu chyba nie pasuje...

...i mi wtedy odpowiada:  
- „Kolejka obowiązuje...”

Gabriela Pęska

## Ości

pojedynczo słabe, cienkie, ostre razem tworzą  
całość  
ość

która utknie ci w gardle

swoją samotnością  
wiele tworzy szkielet, który pozwoli Ci być  
zbierz wszystkie, a nauczysz się żyć

Bliskość

Samotność

Bliskość

Samotność

ości wymieniają się  
tworzą łańcuch

Bliskość tworzy słabość

Samotność tworzy niezniszczalność

Bliskość to szkielet  
rozpływam się ciepłem  
rozpycha mnie od środka, brak kontroli  
cudowny, rozpędzony chaos rani  
klękając, błagam o  
Samotność

każe mnie każdego dnia  
cykl wykańcza moją duszę  
wszystko ogarnia Nicość  
tylko cisza, chłód i te same odbicie w lustrze  
poznaję siebie zbyt dobrze  
nic mnie nie boli  
Dość

stymulacja  
ciągła stymulacja  
rewolucja jest nieunikniona rozpycha mnie  
ość, duszę się ale czuję  
wreszcie coś czuję  
Złość

rodzi się Radość  
rewers jest łaskawy oddycham pełną piersią  
czekam na powrót Bliskości mocna, znana  
zwiastuje dobro, czas na Miłość

teraz mam już wszystkie ości  
tworzę własny szkielet  
Całość  
od teraz jestem człowiekiem, nastaje Wolność

Miłosz Barańczuk

## Złoto

Raz znalazłem garnek złota  
– wnet zacząłem się weselić.  
Ale... co to za robota?  
TRZEBA się bogactwem dzielić!  
- Trochę chciałem dać ubogim  
i dla starych dać się chciało.  
- Cieszyć się spokojem błogim  
jednak wtedy się nie dało...  
Ludzie zaczęli główkować,  
skąd mam? – nic się nie wydało,  
więc zaczęto spekulować...  
- „Ukradł pewno!” – ktoś powiedział.  
- „Może gdzie bogacza zabił...”,  
- „Może za granicą siedział”,  
- „Może od państwa zagrabił”(...)  
- Wciąż niepotrzebne gadanie!  
Ludzie zwyczaj taki mają,  
komuś coś się dobre stanie  
– to wezmą i oceniają...  
„Dosyć tego!” – powiedziałem.  
Już swej winy nie broniłem...  
Część złota na kościół dałem,  
resztę w sztabkę przetopiłem.  
Na koniec sztabkę zważyłem,  
po tygodniu ją sprzedałem.  
Wszystkie pieniądze przepiłem,  
szczęścia, spokoju – zaznałem...

Joanna Han

## Umowa

Zwiększony limit wytrzymałości  
gwarantowanej znakiem jakości

W pakiecie do niezadowolania  
z możliwością anulowania

Za cenę w granicy znośności  
na czas nowej cierpliwości

Bez obawy przepadania  
w odwadze planowania

Mimo odsetek zaległości  
wizja wartkiej przyszłości

I choć bez deklaracji własności  
podpis w mocy świadomości.

# Licorice Pizza (2021)

Rok 1973, Los Angeles. Poznajcie dwójkę bohaterów - Gary'ego i Alanę.

Gary to przedsiębiorczy, a przede wszystkim niepoprawnie optymistyczny piętnastolatek o ciepłym usposobieniu. Alana jest nieco zagubioną dwudziestoosmiolatką, powoli obrastającą w kokon cynizmu, który zapewnia jej przetrwanie w pełnym rozczarowań świecie.

Spotykają się przypadkiem, ot, w trakcie robienia szkolnych zdjęć. Gary z miejsca zaprasza Alanę na randkę, początkowo nie wiedząc o dzielącej ich przepaści wieku. W ten sposób zaczyna się ich dziwaczna znajomość: barwna, pełna chemii... i szalenie krępująca.

Gary co chwila inwestuje całą swoją energię w jakiś pomysłowy biznes, Alana z dystansu matkuje mu i pomaga w interesach, starając się przy tym nie rozwijać do niego uczuć. Niezależnie od tego co czuje, woli siebie postrzegać jako jego opiekunkę, później partnerkę biznesową, później przyjaciółkę, a jeszcze później... sama już nie wie.

Wypalając jointa razem z koleżanką, pyta ją, czy to nie dziwne, że jako niemal trzydziestolatka zadaje się z bandą nastolatków.



Nie – ucina krótko hipiska. Alanie wcale to nie pomaga w rozwiązaniu niezręcznego dylematu. Dopiero bieg wydarzeń pozwoli jej poukładać swoje uczucia. A Los Angeles w tle żyje swoim hucznym życiem. Pijani gwiazdorzy rozbijają się po okolicy,

pastelowe kolory nagrzanego słońcem miasta wpychają się do kadrów i rozpieszczają oczy. Radiowe hity epoki dzieci kwiatów przetaczają się leniwie w gęstym, letnim powietrzu.

Paul Thomas Anderson (Nić Widmo, Aż poleje się krew) sam to dzieło napisał, wyreżyserował, nagrał i wyprodukował. Jest więc to jego nieskrępowany list miłosny do pierwszych lat jego dzieciństwa, gdy wszystko wydawało się prostsze, ekscytujące i pozbawione wad.

Osobiście kocham ten ciepły film całym sercem i delectuję się każdą jego sekundą, odczuwając jakiś rodzaj beztroskiej anemoii - nostalgii do chwil, których samemu nigdy nie doświadczyłem. ■

Piotr Walicki

## Po prostu oddychaj... - zapisek kobiety zmagającej się z depresją

*„Wszystko to, co mam  
Wszystko to, co mam  
To ta nadzieja, że życie mnie  
poskleja  
Dziś odchodzę sam  
Dziś odchodzę sam  
Już nie zawrócę  
To wszystko dziś porzucę  
Ja się zarzekam, uciekam  
Dość mam przeznaczenia  
Po co zwlekać, czekać  
Gdy się nic nie zmienia  
Moja mama, mówiła  
Ostatnia umiera nadzieja\*”  
A co, gdy już umarła...?”*

Depresja – choroba XXI wieku. Nigdy nie spodziewałam się, że na nią zapadnę. Oczywiście wiedziałam, że istnieje, że jest to schorzenie zagrażające życiu człowieka. Nigdy nie mówiłam, że „mam deprechę”, jak miałam zły humor, bo wiedziałam, że to chwilowe gorsze samopoczucie. Uświadamiałam znajomych i rodzinę, że nie wystarczy „wstać z łóżka i zająć się czymś, iść do pracy”, aby ją zwalczyć. Są różne przyczyny depresji. Moim była prawdopodobnie seria bardzo ciężkich przeżyć z brakiem lub niewielkim wsparciem przyjaciół i rodziny oraz samotnością w tłumie. Moja psycholog uważa wręcz, że każdy rodzaj depresji jest zapoczątkowany jakimś trudnym wydarzeniem.

Diagnoza „depresja” nie była dla mnie wcale oczywista. Wykonywałam swoje wszystkie obowiązki, udzielałam się społecznie, wszędzie było mnie pełno. Ale po powrocie do mieszkania nie miałam siły na nic. Cały czas byłam zmęczona. Byłam u lekarza rodzinnego, który dał mi tylko skierowania na morfologię i oznaczenie poziomu hormonów tarczycy, a gdy nic nie wyszło, nie dostałam żadnej podpowiedzi, gdzie mam

dalej szukać. Moje zmęczenie zaczęło przybierać takie formy, że nie miałam siły pościelić łóżka do spania. Spałam w makijażu, bo byłam zbyt zmęczona, żeby go zmyć. Mimo że byłam zziębnięta po powrocie z podwórka zimą, to nie miałam siły zrobić sobie herbaty. Nie miałam siły sprzątać – góry ciuchów, notatek i innych rzeczy piętrzyły się wszędzie, do tego stopnia, że ciężko było wejść do mojego pokoju. Przed chorobą, gdy byłam zmęczona, wiedziałam, że po popołudniowym odpoczynku na drugi dzień będę miała pełno energii. A na tym etapie już kładłam się z myślą „jutro i tak nie będę miała siły tego zrobić”. Zresztą, każde otwarcie oczu rano było związane z myślą „o nie, znowu...”. Zapominałam rzeczy, po które poszłam do sklepu. Czasami zapominałam ich nawet zabrać już po zapłaceniu. Nie byłam w stanie nawet wyjść z mieszkania bez słuchawek, bo głośną muzyką chroniłam się przed rzeczywistością, której nie byłam w stanie znieść. Nie byłam w stanie skupić się na czytaniu ani zapamiętaniu żadnych wiadomości na egzaminy. Jedyne, co byłam w stanie robić całymi dniami, to scrollować Instagrama lub TikToka. Zaczęłam spać przy włączonych lampkach, bo budziłam się w środku nocy przerażona kolejnym koszmarem. Mimo wszystko dalej przez wszystkich byłam odbierana jako radosna i zawsze uśmiechnięta dziewczyna. Liczba ludzi, którymi się otaczam na co dzień na studiach, w pracy, podczas wolontariatów czy treningów jest bardzo duża - wtedy byli dla mnie jak rozmażane postacie we śnie, które tak właściwie nic nie wnoszą, a wręcz postrzegałam ich jak ruszające się rzeźby. Wśród tego tłumu ciągle czułam się samotna. Nie wiedziałam żadnego sensu w życiu, bo wszystko, co miało dla mnie wartość, straciłam w wyniku wielu niefortunnych zdarzeń, a życie jakie wiodłam, choć fajne, nie dawało mi nadziei na przyszłość. Starłam się z całych sił przez bardzo długi czas, a wszystko było jak wrzucanie swojej energii w wielki czarny dół, gdzie nie widziałam wymiernych efektów. Niedawno przeczytałam o eksperymencie Seligmana i Maiera – badali oni wyuczoną bezradność u psów. Umieszczali psy w klatce tak, by nie mogły one uniknąć porażenia prądem elektrycznym. Po pewnym czasie i kilkunastu nieskutecznych próbach uniknięcia bólu psy kładły się na podłodze i biernie unosiły cierpienie. Mam wrażenie, że mimo stałej walki i wykonywania obowiązków, mój umysł zaczął funkcjonować podobnie jak u tych zwierząt. Wiedziałam, że cokolwiek zrobię, to „jutro nie będzie lepiej”. Mój umysł zaczął mnie chronić – udawał, że wszystkie stresujące zdarzenia dzieją się nie mi, tylko komuś obok mnie. Przystawałam czuć przyjemność, a wcześniej byłam bardzo sensualną osobą – uwielbiałam próbować różnych dań, delektowałam się kawą, dotyk różnych tkanin i faktur potrafił mnie przenosić do innych rzeczywistości, kochałam dotyk skóry drugiego człowieka. W ten sam sposób nie odczuwałam emocji trudnych, takich jak np. gniew.

W momencie, gdy podjęłam decyzję, kiedy i gdzie pożegniam się z tym światem, poczułam ogromną

ulgę i spokój. Zaczęłam kończyć rozpoczęte sprawy, odwdzięczać się ludziom za okazaną pomoc. Powiedziałam nawet dwóm najbliższym przyjaciołom, co zamierzam zrobić. Myślę, że byli w takim szoku, że nie do końca wiedzieli, co zrobić. Po jakiś dwóch miesiącach od tego zdarzenia zadzwonił do mnie przyjaciel, prawie płacząc, że jestem na tyle wartościową osobą, że nie chce mnie stracić. To właśnie jego autentyczna troska, a nie udawana, i prawdziwe zainteresowanie zmusiły mnie do pójścia do lekarza. Lekarka nie miała wątpliwości co do diagnozy. Depresja. Sama diagnoza dała mi ulgę, ale też mam wrażenie, że staje się czasami wymówką, gdy się źle czuję. Z drugiej strony pozwala mi to świadomie odpuścić i zaopiekować się sobą w trudnych momentach. Oczywiście, znajomi mi nie wierzą, że taka osoba jak ja może chorować. Czasami patrzą na mnie z politowaniem. Niektórzy sugerują, żebym więcej wychodziła do ludzi i jeszcze więcej uprawiała sportu. Albo żebym zaczęła się modlić. Bez leczenia i terapii, te czynności mnie nie uzdrowią, chociaż i tak je wykonuję.

Wiem, że przede mną bardzo długa droga. I w moim przypadku czuję, że dopóki nie zmienię swojego życia, to nie ma szans na pełne wyzdrowienie. Wiele aspektów nie do końca zależnych jest ode mnie - w życiu nie ma opcji pójść jak do sklepu i wybrać sobie to, czego potrzebujemy. Część rzeczy jest nieosiągalna mimo walki, chyba że ma się szczęście i Przeznaczenie nam to postawi na drodze. Jedyne co mogę zrobić, to pracować jeszcze więcej, by było mnie stać na leczenie. To wcale nie wpłynie pozytywnie na mój stan, ale niestety nie mogę sobie pozwolić na czekanie w kolejce na NFZ pół roku lub więcej, by uzyskać pomoc. Jest wiele opcji doraźnego wsparcia dla osób w momencie kryzysu, np. oferuje go Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych w Kryzysie Psychicznym (całodobowo, 7 dni w tygodniu) nr 800 70 2222, Kryzysowy Telefon Zaufania (codziennie w godzinach 14.00-22.00) nr 116 123, Fundacja Nagle Sami dla wszystkich osób w żałobie, które potrzebują pomocy (od poniedziałku do piątku, w godzinach 14.00-20.00) nr 800 108 108, Stowarzyszenie Animo – Odważ się żyć! (od poniedziałku do czwartku w godzinach 18.00-21.00) nr 22 270 11 65. Myślę, że gdybym wiedziała o tym wcześniej, uniknęłabym momentów, w których przeglądałam listę znajomych na Messengerze i z coraz bardziej podłym nastrojem zdawałam sobie sprawę, że nie mogę nikogo spośród nich obciążać swoimi problemami, co potęgowało uczucie osamotnienia.

Obecnie żyję jak na wzburzonym morzu – fale różnych wydarzeń i emocji miotają mną jak łódeczką. Nie wierzę już w słowa piosenki Sanah i Podsiadły\*. Ale żyję. Po prostu muszę oddychać.

Wdech.

Wydech.

Wdech.... ■

**Dzwoneczek**

# Smutni ludzie w Białymstoku

Wchodzę do piekarni Cymes. Uderza mnie zapach chleba, drożdżowych bułek i świeżo upieczonych ciastek, które leżą na wyciągniętej z pieca blaszce. Witam się z panią i proszę o to, co zawsze – żytni chleb. Pani kroi go dla mnie i przekrzykując krajalnicę, zachwala bułki z suszonymi pomidorami. Dziękuje jej, ale zostaję przy swoim pierwszym wyborze. Pani nabija cenę na kasę i podaje mi paragon. Szukam w torebce portfela. Super. Został w domu. Proszę żeby dała mi chwilę, zapłacę telefonem. Nie wiem, jak to możliwe, ale telefonu też zapomniałam.

- Bardzo przepraszam, telefonu też nie mam. Chyba musi mi pani uwierzyć na słowo, że jutro wrócę i zapłacę – jest mi głupio, ale ona uśmiecha się i mówi:

- Ja zapłacę. Nie będziesz siedzieć głodna – na chwilę zatyka mnie z wrażenia. Dziękuję jej, ale słowa „nie będziesz siedzieć głodna” dźwięczą mi w głowie cały dzień.

Następnego dnia przychodzę oddać zaległe 6 złotych. Nie mam gdzie przypiąć roweru. Proszę mężczyznę na przystanku, żeby na niego zerknął przez chwilę. Zgadza się. Wchodzę do sklepu. Jest inna sprzedawczyni. Opowiadam jej wczorajszą sytuację i mówię, że to niesamowite, że wraca wiara w ludzi. Pani uśmiecha się pobłażliwie:

- U nas to normalne.

Żegnam się z nią i wychodzę. Mężczyzna dzielnie trzyma wartę przy moim rowerze.

- Bardzo Panu dziękuję – mówię.

- Nie ma za co – uśmiecha się do mnie i na odchodne rzuca – miłego dnia!

Oddaję mu uśmiech i życzę mu tego samego. Kolejny mały akt bezinteresownej życzliwości. To właśnie życzliwość skłoniła mnie do pójścia na studia do Białegostoku.

Cofnijmy się na chwilę w czasie. Jest październik, rok 2019. Nie udało mi się dostać na wymarzoną me-

dycę. Podjęłam decyzję, że nie idę na studia, zostaję na rok w domu, poprawiam maturę i oczywiście chodzę na korki. Wybór padł na kurs powtórkowy z biologii na UMB. Było mi tu najbliżej z domu rodzinnego. Pilnie słuchałam prezentacji, robiłam zadania domowe i tony arkuszy maturalnych. Jednak nadal miałam problem z chemią. Mój obecny korepetytor nie za bardzo się sprawdzał. Musiałam go zmienić. Mama podpowiedziała mi, że może warto spytać jednego z wykładowców z UMB. Tak też zrobiłam. Podeszłam po zajęciach do pani doktor i spytałam, czy może mi kogoś polecić.

- Tak, koleżankę zza ściany, z Zakładu Chemii – dała mi numer telefonu. Umówiłam się na spotkanie. Pierwsze pytanie, które padło:

- Ty jesteś jakąś znajomą pani doktor? Bo ja za bardzo nie mam już czasu, ale ona tak bardzo prosiła, żebym Cię wzięła.

Zająknęłam się i wydukałam:

- Nnnnnnie, ja znam ją tylko z zajęć przygotowujących do matury.

- Tak właśnie myślałam.

Jak się możecie domyślić, moja nowa korepetytorka dosłownie „otworzyła” mój umysł na chemię. Osiągnęłam na maturze wynik, o którym jeszcze rok wcześniej nie śmiałybym nawet marzyć. I to tylko dzięki temu, że ktoś zauważył we mnie potencjał i wyciągnął pomocną dłoń. Kiedy przyszedł czas wyboru uczelni, pomyślałam, że jeśli wykładowcami na UMB są ludzie o takich sercach, to muszę tutaj iść. Mijają już trzy lata i nie ma dnia, abym żałowała tej decyzji.

Mówi się, że w Białymstoku są smutni ludzie. Ja w większości widzę tych uśmiechających się do mnie życzliwie. Kto wie, może dlatego, że ja często uśmiecham się pierwsza? ■

**Róża Maria Huszcza**

## Zatrważająca historia ginekologii i położnictwa – o cesarskim cięciu

Proszę sobie wyobrazić. Jesteście Państwo osiemnastoletnią niewolnicą w ósmym miesiącu ciąży na jamajskiej plantacji. Po nocy z ukochanym z sąsiedniej plantacji wracacie do domu, jednak łapią was skurcze. Zaczyna się poród. Znikąd pomocy. Po 20 upiornych godzinach, spędzonych w rowie na skraju pola, znajduje was ojciec dziecka. Jest rok 1769, ale wiecie, że zdrowy poród nie powinien tak wyglądać. W geście desperacji chwytacie nóż wetknięty za pas mężczyzny i razem z sukienką rozcinacie sobie brzuch. W kolejnym skurczu dziecko

rodzi się razem z pępowiną. Gdy znajduje was akuszerka, przecina pępowinę, wsuwa resztę do jamy macicy. Przybyły później doktor Sutton wyjmuje łożysko i nie zszywa ścian macicy, ponieważ w ówczesnych podręcznikach napisane jest, że macica podczas obkurczania zamyka każde swoje rozcięcie. Zaszywa brzuch i zostawia was.

Jest to prawdziwa historia Amenthy. Jej dziecko nie przeżyło, jednak ona sama już dwa tygodnie później była znów na nogach. Brzmi niewiarygodnie, ale tak właśnie wyglądały początki cesarskiego

cięcia. Gdy podczas porodu pojawiały się komplikacje, wzywano diakonów i czekano na cud. Kobiety, która nie potrafiła urodzić naturalnie, uznawano za wybrakowaną, a jej dziecko skazywano na potępienie. Ojcowie Kościoła kazali rozcinać powłoki brzuszne kobietom, które zmarły podczas porodu i chrzcili dziecko, nawet jeśli było małe. Z drugiej strony o podbrzuszu kobiety mówiono, że jest nieczyste. Krążyły nawet legendy o tym, jakoby w X wieku pewien noworodek miał być wyjęty z macicy przed porodem, by resztę czasu dojrzewać w świńskim brzuchu jak w inkubatorze (później został biskupem). Nie jest to jednak swoista opinia chrześcijańska. Jeszcze przed naszą erą uważano, że bóg hinduski, Indra, odmówił przyjścia na świat przez „brudną pochwę”. Również Budda wyszedł ponocnie z boku matki. Nie inaczej u starożytnych Greków (bóg Asklepios) czy Rzymian, u których pierwszy rzymski cesarz, Juliusz Cezar, miał urodzić się „czysty” przez rozcięcie w brzuchu. Niektórzy historycy sądzą, że jego imię wywodzi się od casus, czyli „wycięty”, stąd nazwa sectio cesarea – cesarskie cięcie.

Wróćmy jednak do Amenthy. W roku opisywanej na początku historii urodził się wiejski lekarz, Jesse Bennett. Stacjonował w stanie Wirginia, gdzie poślubił Elizabeth, która, mimo że piękna, miała wąską miednicę, co nie sprzyjało urodzeniu naturalnie dziecka. Gdy w 1794 roku rozpoczęły się skurcze porodowe, wezwany do niej lekarz zaproponował, żeby czekać, aż dziecko umrze, a potem po kawałku wyjmować je hakami. Bennett zażądał wykonania cesarskiego cięcia, a gdy ten odmówił, zdecydował, że weźmie sprawę we własne ręce. Pod znieczuleniem doustnego opium w powalającej ilości jednej łyżki, na dwóch beczkach, pod asystą niechętnego doktora, siostry Elizabeth i czarnej niewolnicy, Bennett otworzył jamę brzuszną cięciem od pępka w dół, a następnie rozciął pionowo macicę. Córka urodziła się zdrowa. Jednak mężowi to nie wystarczyło. By upewnić się, że Elizabeth nie będzie musiała więcej przeżywać takiego porodu, wyciął jej jajniki. Swoje przełomowe dokonanie zachował dla siebie, aby nikt nie zarzucał mu kłamstwa. Dopiero po jego śmierci siostra żony zaczęła opowiadać, co się wydarzyło.

Przenieśmy się do Francji, gdzie cesarskie cięcie było uważane za zabieg śmiertelny. Właśnie tam w 1777 roku położnik, Jean- Rene Sigault, wpadł na pomysł, by w celu poszerzenia miednicy rozcinać spojenia łonowe (za co otrzymał srebrny medal). Kobiety po takich zabiegach już nigdy nie były w pełni sprawne, chodziły o kulach i wypadały im macice. Jednak uznano, że lepsza jest niepełnosprawna pacjentka niż potencjalnie martwa. Moda na przecinanie spojenia łonowego (symfizjotomię) rozniosła się na Włochy i Anglię. Sigault miał jednak przeciwników. Jean-Louis Baudalogue, asystujący przy symfizjotomiach kończących się okaleczeniem pacjentek lub też niekiedy ich śmiercią,

nazwał Sigaulta mordercą. W opozycji, Baudalogue napisał podręcznik „Rozprawy o cesarskim cięciu”, z którego jak się okazało, skorzystał niespełna 20 lat później Bennett.

Walka o przeżycie rodzących z wąskimi miednicami lub innymi czynnikami ryzyka niepowodzenia porodu naturalnego, a także o życie ich dzieci, trwała dalej. W Anglii wywoływano poród w 7. miesiącu, sądząc, że mały noworodek da radę przejść przez kanał rodny. Jak możecie się Państwo domyślać, później przeważnie nie dożywał tygodnia ze względu na zaburzenia oddychania (czemu przeciwdziałano naprawdę dziwnymi sposobami - od nacierania musztardą i czosnkiem, przez dmuchanie dymem tytoniowym przez odbyt, aż do aplikowania tam kolby kukurydzy czy dziobu kruka). Londyński lekarz, dr Lucas, wpadł nawet na pomysł, by głodzić ciężarne. Miało to zmiękczyć główkę noworodka. Aby nastąpił przełom w myśleniu o cesarskim cięciu jako operacji ratującej życie, na kartach historii musiała pojawić się Anna Margaretha Adametz.

W czerwcu 1826 roku Anna Margaretha spodziewała się pierwszego dziecka. Miała trzydzieści jeden lat i była niskiej postury. Dzień po pierwszych bólach porodowych pęcherz płodowy pękł, jednak poród nie nastąpił. Dr Seidel ze wsi obok, położnik, stwierdził, że główka zaklinowała się we wchodzie miednicy, wezwał więc chirurga, dr Zwancka. Po kolejnym dniu, gdy dr Zwanck przybył, położyli obaj Annę Margarethę na stole kuchennym, przywiązali jej kończyny do stołu. Pierwsze nacięcie były zbyt krótkie. Po jego wydłużeniu ukazała się główka dziecka. Wsuwając zgięty palec w usta noworodka, Seidel wyciągnął go niczym hakiem. Chłopiec był martwy, a z macicy wystrzeliła fontanna krwi. Zwanck z dużej wysokości skierował na macicę strumień zimnej wody. Później, zgodnie z naukami Francois Rousseta, zostawił rozciętą macicę, zaszył zewnętrzną ranę powłok brzusznych i liczył, że wszystko będzie dobrze. O dziwo było. Mimo gorączki, rozwolnienia, zapalenia pęcherza i sączenia ropy z rany (Zwanck stwierdził, że to „dobra ropa”) kobieta już miesiąc później była w pełni sprawna. Zwanck przestrzegł męża, że kolejna ciąża zabije Annę Margarethę, dlatego należy zachować wstrzeźliwość seksualną, czyli jedyny dozwolony i skuteczny sposób antykoncepcji zalecany przez Kościół, państwo i lekarzy.

Trzy lata później Anna Margertha była znowu brzemienna. Tym razem Zwanck nie podjął się prowadzenia porodu, wysłał ją więc do kliniki położniczej dla biednych w Kilonii, która przypominała bardziej stajnię niż ośrodek zdrowia, gdzie akuszerki kazały w bólach przyznawać się niezamężnym kobietom, kto jest ojcem dziecka. Tam naszą rodzącą zajął się dr Wiedemann, królewski radca stanu i nadworny lekarz króla duńskiego. Przeraziła go paryska symfizjotomia, zdecydowany był na wykonanie cesarskiego cięcia. I mimo że

w przypadku Anny Margarethy nie wyobrażał sobie rozcinania powłok brzusznych drugi raz, to w 1830 roku stan pacjentki był już na tyle poważny, że zmuszony był dokonać niewyobrażalnego. W blasku świec przeciął starą bliźnię (ściana macicy zrosła się z powłokami brzuszными po pierwszej cesarce) u nieprzywiązanej tym razem kobiety, która z odwagą przyjęła na siebie to, czego się już spodziewała, i wyjął dziecko - żywą dziewczynkę. W pięć minut zaszył ranę brzucha, obawiając się, że pacjentka umrze z bólu. Okres rekonwalescencji i tym razem był pełen powikłań, ale i tym razem Anna Margaretha przeżyła (w przeciwieństwie niestety do jej córki) i z końcem marca opuściła klinikę. Po dwóch latach wróciła do niej, ciężarna po raz trzeci.

Wiedemann nie podjął się prowadzenia trzeciej operacji cesarskiego cięcia u tej samej pacjentki. Przejął ją dr Gustav Adolf Michaelis, jego siostrzeniec. On również był przeciwny paryskiemu zwyczajowi rozcinania spojenia łonowego. Tym razem operacja u Anny Margarethy trwała dłużej i była bardziej krwawa. Wróciła do zdrowia dopiero po dwóch miesiącach. Michaelis opublikował sprawozdanie o potrójnej cesarce zakończonej sukcesem, które okazało się sensacją europejskiego świata medycznego. W międzyczasie w szpitalach położniczych rozprzestrzeniła się gorączka o nieznanym pochodzeniu, która pierwszy raz została opisana w Paryżu. Cierpiały na nią położnice, a objawiała się zapaleniem narządów rodnych. Pacjentki umierały w stanie delirycznym. Tłumaczono to „miazmatami”, które występowały tylko w powietrzu na salach porodowych. Michaelis po kolejnym nawrocie epidemii postanowił odprawić wszystkie ciężarne i gruntownie przewietrzyć klinikę. I wtedy, w 1836 roku, u progu jego kliniki pojawiła się, brzemienna po raz czwarty, Anna Margaretha. Po dwóch dobach, kiedy nie było już szans na poród naturalny, ponownie wykonał cesarskie cięcie. Rana tym razem się nie zamknęła. Tym razem po trzech miesiącach, chociaż zabrzmi to absurdalnie, Anna Margaretha doszła do siebie. Na szczęście już nigdy nie zaszła w ciążę.

Michaelisa natomiast trapił problem zakażeń połogowych, w wyniku których zmarła jego droga kuzynka, Theonia. Otrzymał list, w którym podzielono się z nim odkryciami pewnego lekarza asystenta, Ignaza Sammelweisa, jakoby zakażenia przenosiły się z rąk studentów wykonujących sekcję zwłok na pacjentki. Natychmiast wprowadził u siebie wiedeński zwyczaj odkażania rąk wodą chlorowaną. Od tego czasu nie wystąpił w jego szpitalu ani jeden przypadek zakażenia. Lekarz jednak, ogarnięty rozpaczą i poczuciem, że nieświadomie zabił swoją kuzynkę i wiele innych swoich pacjentek, rzucił się pod pociąg. Nie mniej smutno kończy się historia Ignaza Sammelweisa - przerażająca większość położniczek nie wierzyła i nie stosowała się do jego zaleceń. Doktor trafił do szpitala psychiatrycznego, gdzie umarł najprawdopodobniej od zakażenia, przed którym tak przestrzegał.

Historia cesarskiego cięcia jednak się nie kończy. W 1851 roku Julia Covallini w dziewiątym miesiącu ciąży na piechotę dotarła do szpitala w Pawii. Wskutek krzywicy jej kanał rodny był zbyt wąski do urodzenia drogą pochwową. Miała szczęście - trafiła na profesora Edoardo Porę, który zafascynowany był historią Anny Margarethy. Zadawał sobie pytanie - jak to możliwe, że przeżyła aż cztery operacje? Dr Johann Wiefel przypuszczał, w przeciwieństwie do reszty lekarzy, którzy operacje Michaelisa uznawali za łut szczęścia, że druga, trzecia i czwarta odbyły się bez otwierania jamy brzusznej, ponieważ ściana macicy tak mocno zrosła się z zewnętrznymi powłokami, że rany zostały zszywane razem i ani krew, ani odchody połogowe nie mogły dostać się do jamy brzusznej. Porra z dużą nadzieją wierzył w sugestie Wiefela, że ściany macicy również trzeba będzie zszywać. W praktyce jednak jego postępowe praktyki zakładania na tyle mocnych szwów, by wytrzymały skurcze poporodowe, kończyły się tragediami. Skupił się więc na innym, powiązonym z tym problemem - skoro zszycie macicy jest bezsensowne, to czy nie należy wyciąć całego narządu, aby uratować kobietę? Wcześniej takie zabiegi stosował na królikach (kończyły się powodzeniem), czekał tylko na pacjentkę, której krwotok będzie zagrażał życiu. I taką pacjentką okazała się Julia Covallini. Podczas cesarskiego cięcia, gdy wszystkie próby zatamowania masywnego krwawienia okazały się daremne, Porro wsunął nad macicę narzędzie z drucianą pętlą i opuszczył je aż do szyjki. Pętlę zacisnął, poczekał aż krwawienie ustanie, po czym wyciął macicę, wyjął ją i zaszył ranę. Kikut szyjki przytwierdził do powłok brzusznych. Przejął się zakażeniem, które wystąpiło mimo użycia wszelkich dostępnych działań aseptycznych. Wynajął na swój koszt przedział pociągu i zawiózł ją do Mediolanu, by nie przebywała w „malarycznym powietrzu Pawii”. Tam Julia ozdrowiała. Od tego czasu ulepszono jego technikę i nazwano „cesarskim cięciem metodą Porry”.

Szew szyjki macicy wynalazł dopiero Ferdinand Adolf Kehrer. Jego klinika pozostawiała wiele do życzenia w kwestii warunków sanitarnych, jednak kochał kobiety. Metody stosowane przy rodzących, u których pojawiły się powikłania, uważał za zbyt drastyczne. Starał się wynaleźć własny sposób, jak uratować takie kobiety, aby zachowały macice. W 1881 roku pomagał przy trudnym, czwartym porodzie Emilie Schlusser. Przeprowadził po raz pierwszy poprzeczne cięcie i zauważył, że rana krwawi w dziwnie niewielkim stopniu. Miał czas, by powoli i skrupulatnie założyć szew na ścianie macicy i otrzewnej. Rana goiła się prawidłowo, jednak Emilie zmarła z niewyjaśnionych przyczyn. Kehrer jeszcze raz zmuszony był wykonać taką samą technikę u innej pacjentki. Ta kobieta również nie przeżyła. Położnik był zdruzgotany, chciał zaniechać stosowania swojej metody. Ale gdy podczas sekcji zwłok okazało się, że szwy trzymały, odzyskał pewność siebie i w 1882 roku poinformował o swoich dokonaniach



świat medyczny. Max Sanger w tym samym roku udoskonalił szew i nadał mu ostateczną postać. Pojejmowano jeszcze próby tuningu tego szwu, ale nie miały one sensu. Tylko uczeń Kehrera, Fritz Frank, dokonał czegoś godnego uwagi - przeniósł cięcie w dolną część macicy, gdzie skurcze prawie nie występowały i nie rozrywały szwów.

Historia cięcia cesarskiego nie miałyby racji bytu, gdyby nie lekarze, ale i operowane pacjentki, toteż w artykule znajdują się imiona i nazwiska obu tych grup. ■

**Wiktoria Ciok**

# Mona Lisa według prof. Adama Bochenka

Mona Lisa (Portrait of Lisa el Giocondo, 1503-1506) to najbardziej charakterystyczny obraz na świecie. Jest to ważne dzieło sztuki renesansu i należy omówić je szczegółowo. Obraz ma wymiary 77 x 53 cm, namalowany został farbami olejnymi na płótnie. Dzieli się na 3 zasadnicze części, mianowicie: górną (pars superior), środkową (pars mediana), dolną (pars inferior).

Dodatkowo dzieli się go na: 2 części boczne i część przyśrodkową (pars lateralis et medialis).

Rozpatrzmy kolejno poszczególne grupy.

## CZĘŚĆ GÓRNA

Część górno-boczna ukazuje charakterystyczny zarys niewyraźnego krajobrazu górskiego.

Wierzchołki grani spowite są delikatną powłoką lodu i śniegu, otoczone ponadto szaro-białymi chmurami typu stratocumulus. Kolor chmur jest cechą charakterystyczną chmur zmierzchowo-wieczornych, tj. wchodzą w swojej części proksymalnej w stosunku do ciał niebieskich w kolor szaro-brunatny. Góry okalają plejstocenijskie jezioro polodowcowe, koloru niebieskonebieskawego. Jezioro tworzy w dolno-bocznej prawej części obrazu zachyłek o kształcie stożkowatym, a odpowiednio z lewej strony uwypukla się bocznie ku górze znikając między górami.

Część górno-przyśrodkowa Mona Lisy zawiera trzy oddzielne części: twarz (faciem), włosy (capillum) oraz szyję (collum) kobiety.

**Kobieta** jest samicą człowieka (homo homini), jest mniejsza i delikatniejsza od odpowiadającego jej samca. Posiada odmienne od niego cechy anatomiczne, których omówienie wykracza poza materiał niniejszego rozdziału (por. roz. 21).

**Twarz** jest to centralna część części przyśrodkowej górnej obrazu i tworzy jego zrąb. Jest delikatnie zarysowana i uwagę zwracają na siebie lekko otwarte obrócone w bok gałki oczne. Kąciki ust wygięte są ku górze i tworzą enigmatyczny, nikły uśmiech. Pozo-

stałe części twarzy to: czoło, policzki, nos, podbródek.

**Szyja** jest to najniżej położona część górno-przyśrodkowej części obrazu i łączy głowę (caput) z klatką piersiową (thorax).

**Włosy** są położone najbardziej bocznie na krawędziach twarzy i opadają w dół na klatkę piersiową. Lekko zakręcone dystalnie, z wyraźnie zaznaczonym przedziałkiem na górze głowy.



## CZĘŚĆ ŚRODKOWA

Część środkowo-boczna po swojej prawej stronie ukazuje zakręconą drogę piaszczystą w charakterystycznym kształcie litery „S”, odprowadzoną wprost do jeziora w przełęczy górskiej. Po lewej stronie natomiast tworzy się trzeci zachyłek jeziora. Ta część obrazu ma bardziej ciepły koloryt niż górna. Część środkowo-przyśrodkowa ukazuje klatkę piersiową Kobiety przedstawionej na obrazie. W części centralnej ukazany jest okazały jak na XV wiek dekolt z wyraźnym przedziałkiem pomiędzy piersiami (mamma) Kobiety. W pozostałej części widzimy opadające włosy (strona

lewa); resztę tej części obrazu wypełnia charakterystyczny dla późnego średniowiecza strój mieszczkański w ciemnym kolorze.

## CZĘŚĆ DOLNA

Część dolno-boczna jest najmniej zarysowana i przedstawia wyłącznie strój Kobiety.

Widzimy również zbiegające się w części przyśrodkowej, charakterystycznie oświetlone i mocno pofałdowane rękawki ww. stroju. Część dolno-przyśrodkowa jest delikatnie przesunięta w prawą stronę i ukazuje nam dłonie Kobiety, przy czym prawą dłoń trzyma na lewym nadgarstku (w 1/3) i przedramieniu (w 2/3). Lewa ręka oparta jest na brzuchu i posiada delikatnie zagięte palce, brak widocznego kciuka. ■

**Hubert Korowicki**